



# ŚWIAT DZIECI

DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU

## Dnia 17 stycznia

Dnia 17 stycznia Warszawa obchodzi swoje największe święto — drugą rocznicę wyzwolenia. To nie jest święto tylko Warszawy, to święto całej Polski, całego narodu. Dwa lata temu, 17 stycznia 1945 r. Niemcy opuścili Stolicę, zburzywszy ją i spaliwszy doszczętnie.

Może niektórzy z Was pamiętają jeszcze te dni, kiedyśmy z Pragi patrzyli na północną Warszawę. Dzień i noc luna oświetlała niebo, dzień i noc słychać było wybuchy, dzień i noc waliła się i paliła Warszawa. Niemcy wiedząc, że nie będą mogli tu zostać, wiedząc, że przegrywają wojnę, postanowili zrównać miasto z ziemią. Taki był rozkaz Hitlera. Dnia 12 stycznia jednak, od strony przyczółka sandomierskiego, rozpoczęła się ofensywa Armii Czerwonej — dn. 17 stycznia zwycięska Armia Polska i Czerwona wkroczyły do Stolicy.

Przez lód na zamrożonej Wiśle, bo żadnych mostów nie było, przeszli ci, którzy najbardziej Warszawę kochali, żołnierze, którzy tysiące kilometrów w trudzie i znoju, w ciągłych walkach, pod kulami, szli z jedną jedyną myślą, jednym jedynym pragnieniem — „zobaczyć Warszawę”. Ale na lewym brzegu Wisły Warszawy nie było. Były tylko gruzy, ruiny i ciała zabitych...

Jeżeli ktoś z was był tu wtedy, albo nawet trochę później, to pamięta, że przez ulice nie można było przejść — bo reszta ulic nie było — znikły pod zwalami cegły i gruzu. Pamiętacie, że nie było elektryczności a po wodę trzeba było chodzić daleko do studni.

Tak wyglądała Warszawa dwa lata te-

mu. A jednak mimo takiego zniszczenia, Niemcom nie udało się Jej zabić. Warszawa zburzona i spalona, Warszawa zamieniona w ruinę, żyła w sercach swoich mieszkańców, którzy mimo wszelkiej trudności, nie chcieli przenieść się do innego miasta. Zamieszkali tu w ruinach, w domach bez okien, bez drzwi a często bez dachu, zasłaniali szpary w murach dyktą, deskami, blachą — czym się dało, marzli, bo nie było opału, siedzieli po ciemku, bo nie było światła — nie mieli co jeść... A jednak nie ustępowali. Twardą mieli duszę warszawiacy i silna była ich miłość swojego rodzinnego miasta. Woleli tu niewygody, woleli tu życie jakby w jaskiniach niż gdzie indziej ładne, widne i ciepłe mieszkania. Twardo i nieugięcie postanowili Warszawę odbudować. Wy o tym wiecie dobrze, bo waśni ojcowie i matki usuwali gruz z miasta. Ojciec niejednego z was pracował w elektrowni, ojciec niejednego pracował w warsztatach tramwajowych. Ich zasługą jest, że dzisiaj możemy zapalić w domu elektryczność, ich zasługą jest, że nie musimy chodzić z Mokotowa na Pragę piechotą, że mamy już tramwaje, że mamy ulice, że możecie uczyć się w szkołach.

To co Niemcy zniszczyli w swojej nienawiści do wszystkiego, co polskie, do wszystkiego, co ludzkie, do wszystkiego, co dobre — to kochające ręce wszystkich ojców i matek, waszych starszych siostr i braci budują pracowicie i niezmordowanie, budują dla was, byście gdy dorośniecie mieli już miasto piękne i całe, bez śladów zniszczenia. Nie udało się Niemcom zniszczyć Warszawy, bo siła miłości większa jest niż siła nienawiści.



WARSZAWA 17 STYCZEŃ 1945

JANINA MILKOSZYCKA

# OSTATNI SĄD



ICHO i spokojnie płynęło życie mieszkańców małej wioski, leżącej na lewym brzegu Wisły, a stanowiącej własność książąt Mazowieckich. Dokoła szumiały bory nieprzejezdne i dostęp

do wsi był trudny. Chyba Wisłą. Ale i wodna komunikacja była w tym czasie bardzo mało rozwinięta. Bo działo się to strasznie dawno — przeszło 600 lat temu, w 1338 roku. W Polsce panował wtedy król mądry i sprawiedliwy, Kazimierz Wielki, zwany przez lud Królem Chłopków. Bo lud wiejski w obronę brał przed uciskiem i okrucieństwem szlachty i książąt.

Więc też zdumienie ogarnęło mieszkańców owej wioski głuchej, gdy zjeżdżać do niej poczęły gromady rycerzy, hułce cale, orszaki, kolasy zwożące bracie szlachę.

Książę Mazowiecki, co w zamczysku murowanym mieszkał, gościł nie był kogo — bo króla samego i panów co możniejszych. Reszta zaległa obozami dokoła wsi, gwar wielki i zamieszanie czyniąc.

Biedni chłopci nie wiedzieli, co ów zjazd oznacza i ciekawość ich brała ogromna. Przepytywali się więc wśród pacholków i służby, co by to być mogło.

Bartek, Lysym zwany, chłopisko wielkie i śmiałe, przysunął się do siedzących wedle ogniska parobków i kłaniając się nisko, pytał pokornie:

— Wielmożni rycerze, chciałby to lud prosty tyż wiedzieć, co to za zjazd taki? Czy to wojna nowa ma być, czy co inne?

Parobcy dworować zaczęli z mowy jego nieskładnej, z owego „mazurzenia”, aż jeden, zlitowawszy się widać nad chłopem powiedział:

— Nie wajna to będzie, a sąd nad wrogiem naszym — nad Krzyżakami, co kraj

nasz pustoszą, wsie i miasta palą i lud bezbronny w pień wycinają. Sąd nad nimi będzie i kara za krew niewinną, przez nich przelaną. Krzyżem się osłaniają i pod tą osłoną zbrojecki proceder uprawiają.

Od razu po całej wsi wieść się rozniosła o tym, co ów parobek powiedział. Rozjaśniły się chłopskie twarze. O rozbojach krzyżackich, o bezprawiach wiedzieli wszyscy, nawet mieszkańcy tej wioski, wśród borów zapadłej. Bo „gdzie przeszły stopy takiego widziadła, niczym jest kłęska wioska albo grodów, cała kraina w mogiłę zapadła...”

A nie przeczuwali wonezas ani chłopci, ani też rycerze, co się na sąd zjechali, ani nawet sam książę Mazowiecki, pan tej wsi i pół i borów rozległych — że ta wieść cicha — nim trzysta lat minie — w stolicę Polski się zmieni, w miasto gwarne i piękne, co z roku na rok rozrastać się będzie i potężnieć, że na tych miejscach, gdzie teraz bory szumią i dziki zwierz w swych legowiskach się kryje — staną gmachy potężne, pobiegną ulice pięknie brukowane, zalegną place szerokie. I z dawnej wioski pozostanie, jako

ka, potem przez sto dwadzieścia lat znajdowała się pod carskim panowaniem. Ale Warszawa nigdy nie uległa przemocy, nie pogodziła się z niewolą. Lud warszawski porwał za broń, stawał do walki, ginął w obronie wolności i honoru.

Wieczną sławą okryły się imiona obrońców Warszawy — młodzieńckiego Józefa Wysockiego, generała Bema, nieulekłego generała Sowińskiego, co o jednej nodze, do ostatniego tchu bronil się w kościółku na Woli, Jana Kilińskiego, szewca, co lud warszawski do walki porwał, i wielu, wielu innych.

Tak było przez wszystkie te wieki. Tak jest aż po dziś dzień.

Nie przeraziły ludu warszawskiego bomby niemieckie w 1939 roku, nie zgnębił go okrutny najeźdźca hitlerowski. Przez pięć lat niewoli Warszawa walczyła bohatercko i ofiarnie.

Zburzył Niemiec, w gruzy i zgłiszczą zamienił piękne, wielkie miasto. Wymordował setki tysięcy ludzi. Ale Warszawa nie przestała istnieć, odbudowuje się i żyje w sercach całego narodu, żyje w niehawiści płomiennej do wroga.

Na zgłiszczach Warszawy, na tym samym miejscu, gdzie 600 lat temu sadowo Krzyżaków, odbywa się sąd nad ich potomkami — hitlerowcami niemieckimi. Ale sędzi ich nie król i garstka możnych rycerzy. Sędzi ich cały naród, cała ludzkość, świadkami zaś są gruzy domów zwałonych, krew okrutnie pomordowanych milionów ludzi.

Raz na zawsze zniknie z powierzchni ziemi zbroja hitleryzmu.

Nowa Warszawa staże na gruzach i zgłiszczach. Wznosi ją własnymi rękami lud polski, co wytrwał w walce, co nie dał się zgnębić przemocy.

Budujemy ją wszyscy!

## WARSZAWIE

Na każdy dzień, na każdy czas  
Tys nam jest domem ducha;  
I żywy nam jest każdy twój glaz  
I każdy mówi, słucha...

Mówi tym szeptem, co jest grom,  
Skoś ciszy, gdy rozbrzmiewa,  
Słucha, jak wtórzac naszym łozem,  
Wisłana fala śpiewa...

Przeorał bój, przeorał znoj,  
Każdą piędź twojej ziemi,  
A my na siew dawali krew,  
Kości mi ją siali swemi.

Rodzajne ziarna przeszedł pył  
W serdecznej twojej glebie,  
Aż wzejda z tajnych twoich żył  
Skoś ciebie i dla ciebie.

Czy wzejdą późno, czyli wczas,  
Czy nocą, czy świtaniem,  
Zawsze ty wiernych znajdziesz nas,  
Zawsze przy tobie staniem.

I zbudzi wiernych twoich dzwon,  
Nawet zastygłe w grobie;  
I buchną serca w jeden ton  
Z Wisłą, co śpiewa tobie.

M. KONOPNICKA



ślad jedyny ow zamek, z ciosanych brył kamiennych wzniesiony. Ale zamek ten zniknie wśród innych budynków, większych i piękniejszych i nie jeden późniejszy mieszkaniec onego miasta nawet wiedzieć nie będzie, że koło starego zamczyska książęcego przechodzi. Bo ta wioska — to późniejsza Warszawa.

Nie wiedzieli, nie przeczuwali, że w grodzie tym, co nad brzegiem Wisły stanie, żyć będzie lud pracowity i waleczny. Lud, który nie tylko wznosić potrafi piękne budowle, ale i bronić swego miasta w potrzebie najcięższej.

A niejedną ciężką chwilę przeżyła Warszawa na przestrzeni swego istnienia. Przewaliła się przez nią nawala szwedz-

## NASZ SZTADAR

Nasz sztandar tkala żywa moc,  
Co śmierci się nie lęka,  
Przez chmurne dnie, przez głuchą noc  
Tkala go duchów ręka.  
My jej drgającą snuły nić  
Z serca, co żarem bije...  
Ten tylko naród godzien żyć,  
Co czuje sam, że żyje!

Nasz sztandar powiał w jasność zór  
Na drzewcu z tego drzewa,  
Co korzeniami wszecz i wzdłuż  
Wrosło w tej ziemi trzewa.  
I nikt i nic, przez żaden trud  
Nie zerwie węzła tego,  
Co z ziemią wiąże wierny lud,  
A ziemię z duchem jego!

Nasz sztandar jedno hasło ma  
I jedno zawołanie:  
— W jedności, pracy żyje, trwa,  
Jest z kłęski — zmartwychwstanie.  
My go z czcą niesiem w życia chram  
Od ziemi, od macierzy...  
— Ten tylko wejdzie do jutra bram,  
Kto w jutro swoje wierzy!

M. KONOPNICKA



## I

Franek wyszedł dzisiaj do szkoły trochę za wcześnie. Szedł więc powoli okrężną drogą przez skwer i szukał kamieni nadających się do strzelania z procy. Tak rozglądając się zauważył jakiś dziwny przedmiot leżący w trawie. Podniósł go i zaczął oglądać, zastanawiając się, co to może być. Było to okrągłe szkiełko otoczone oprawką z masy. Szkiełko nie było płaskie, lecz na brzegach cienkie, w środku grubsze.

Franek z przyjemnością obmacywał je palcami — „jakie to gładziutkie“ — pomyślał.

Spojrzał przez to szkło na własne palce — i zdziwił się okropnie, palce wydawały mu się ogromne jak u ręki obrzydliwej, paznokcie źle obcięte i poobgryzane wyglądały jak pazury, a wąski paseczek brudu za paznokciami wydawał się przez to szkło taki duży i taki czarny, że Franek czym prędzej wyjął szczyryk z kieszeni i zaczął czyścić paznokcie.

Uporawszy się z tą czynnością zaczął oglądać przez szkło wszystkie przedmioty naokoło.

— „Wieża kościelna — to dopiero będzie wielka“ — pomyślał — i spojrzał na wieżę. Tymczasem wbrew oczekiwaniu wieża przez szkło nie wydała mu się wcale większa niż zwykle, tylko jakaś niewyraźna; gdy długo się wpatrywał, zaczęły go boleć oczy.

Poruszał więc szkłem w nadziei, że uda mu się lepiej coś zobaczyć, aż wreszcie odsunął je od okna na całą długość ręki i wtedy dopiero się zdziwił. Patrząc w szkiełko zobaczył domy, ludzi, wieżę, małe jak na obrazku, odwrócone do góry, nogami.

Franek popatrzył jeszcze na rękaw swojej koszuli i tu zauważył że nitki, z których materiał był tkany, wydają się przez szkło grube jak sznury, a cały materiał wyglądał jak spleciona z tych sznurów krata.

„Jakże to jest“ — rozmyślał. „Przez to samo szkło patrzę na coś dalekiego, to jest odwrócone do góry nogami i zmniejszone, a kiedy patrzę na coś z bliska to jest bardzo powiększone i wcale nie odwrócone“.

Rozmyślanie to przerwał mu gwizd syreny. — „Ojej — 8-ma godzina“. Schował szkło do kieszeni i pędem, roztrzaskając przechodniów biegł do szkoły.

## II

Wpadł do klasy, w chwili gdy lekcja już się zaczynała. Pani pokręciła groźnie głową, ale do dziennika opóźnienia nie zapisała. Usiadł więc cichutko w ławce. Po chwili jednak nie wytrzymał, trącił w bok swego sąsiada Jędrka Kowalskiego i szepnął:

„Wiesz — znalazłem czarodziejskie szkło“.

„Głupiś — odpowiedział szeptem Jędrzek — czary są tylko w bajkach“.

„Zaraz ci pokażę, — i Franek wyciągnął szkło z kieszeni. Jędrzek jednak nie patrząc, odwrócił się i pilnie uważał.“

Nie było rady — Franek musiał również uważać przez całą lekcję aż do dzwonka.

Za to podczas pauzy łok się zrobił koło naszego bohatera.

Wszyscy koledzy cisnęli się, żeby chociaż przez chwilę potrzymać w rękach i popatrzeć przez czarodziejskie szkło.

Franek widział tylko, że przechodzi ono z rąk do rąk i coraz to bardziej oddala się od niego.

„Oddaj, to moje“ — zawołał do swego imiennika, tak zwanego Długiego Franka. Ale Długi Franek nie puszczał szkiełka z ręki. Stał sobie wygodnie przy oknie i górując o głowę nad resztą chłopców, zapytał wszystkich:

„A wiecie wy, że tą soczewką można papierosa na słońcu zapalić?“

Wszyscy umilkli ze zdziwienia, a potem zaczęli prosić, żeby pokazał jak to się robi.

Franek był bardzo damny i zwlekał, ażeby jak najdłużej skupić na sobie uwagę całej klasy.

„Przedej, bo zaraz będzie dzwonek“ — zawołał któryś z chłopców.

„Dobrze — już zaraz pokażę, jeżeli bardzo chcecie“ — mówił powoli Długi Franek. — „Nikt nie ma papierosa? No to nie potrzeba, ja potrafię nawet kawałek papieru zapalić“.

Wziął w jedną rękę soczewkę i trzymał ją tak, aby promienie słońca prosto na nią padały. W drugiej ręce miał, podaną skwapliwie przez któregoś z kolegów, kartkę z zeszytu i trzymał ją za soczewkę.

Wszyscy śledzili z zapartym oddechem, co z tego wyniknie. Na kartce papieru widać było okrągłe jasne kółko. Długi Franek poruszał powoli papierem, aż to kółko zmniejszyło się i stało się małą jasną plamką. Po chwili w miejscu, gdzie była ta plamka papier zaczął dymić. Długi Franek opuścił soczewkę i pokazał wszystkim wypaloną w papierze dziurkę.

„Widzicie — to szkło skupia promienie słoneczne“ — powiedział.

W tym momencie zadzwonił dzwonek. Nasz mały właściciel cudownego szkiełka stał już przy swoim Długim imienniku i, w chwili gdy dzwonek zaczął dzwonić, chwycił Długiego za rękę i powtórzył — „daj, to moje“.

Długi spojrzał na niego z góry, podniósł soczewkę, popatrzył przez nią i wreszcie z miną łaskawego władcy oddał małemu Frankowi jego skarb.

Wszyscy już byli na swoich miejscach i Pani rozpoczęła lekcję.

Franek siedział koło okna i słońce świeciło prosto na jego ławkę. Wyciągnął więc ostrożnie soczewkę i kryjąc się za plecami kolegi, próbował również wypalić dziurkę w papierze.

Z początku mu się to nie udawało. Jasne kółko na papierze nie chciało stać się małą jasną plamką.

Jędrzek Kowalski jednym okiem patrzył na tablicę a drugim coraz to zerknął na Frankowe próby i cichym szeptem dorzucał swoje uwagi: „odsuń ten papier dalej, — nie, to za daleko — bliżej“.

W końcu zobaczył, że jasna plamka stała się bardzo mała i zaraz potem papier zaczął się dymić.

„Czekaj — trzymaj tak“ — szepnął Jędrzek, wyjął linijkę centymetrową i zmierzył odległość od soczewki do papieru.

„Widzisz“ — powiedział — „nie można trzymać papieru za daleko, ani za blisko, tylko akurat w odległości 20 cm od soczewki“.

„Faktycznie“ — odrzekł Franek, położył papier i zamiast niego umieścił własną rękę w odległości 20 cm od soczewki.

Niedługo jednak ją potrzymał, bo plamka jasna, która powstała teraz na ręku była bardzo gorąca i tak go zapiekła, że musiał czym prędzej przerwać tę zabawę.

„Prześnił i uważaj, bo będzie z tobą źle“ — mruknął Jędrzek.

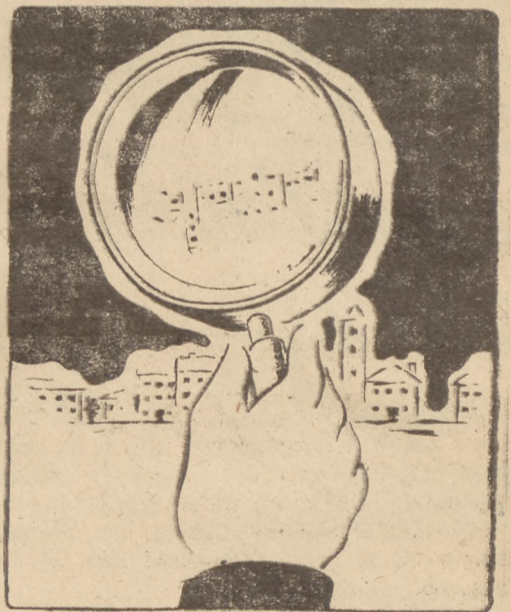
Franek jednak korzystał z tego, że przed nim siedzący koledzy zakrywali go zupełnie i bawił się dalej.

Powypalał dziurki w okładkach swoich zeszytów, na piórniku zrobił kilka czarnych kropek. W końcu skierował palącą plamkę na plecy siedzącego przed nim Józia Klimeczaka.

Nie długo to trwało — Józio gwałtownym ruchem obrócił się i złapał ręką za plecy aż ławka skrzyknęła na całą klasę.

„Klimeczak, siedź spokojnie“ — krzyknęła Pani.

„Proszę Pani, kiedy Karwacki mi palącego papierosa do pleców przyłożył“ — zawołał Józio wstając, i zaraz pokazał, że w koszuli na plecach ma wypaloną dziurę.



Franek wstał i milczał z miną winowajcy, nie wiedział bowiem, czy lepiej pokażać szkiełko, czy też być posądzonym o palenie papierosów na lekcji. Dopiero kiedy Pani kazała mu zabrać książki i iść do domu, a następnie zgłosić się z rodzicami u dyrektora, poczuł, że to nie żarty.

Pokazał więc szkiełko i powiedział: że wypalił dziurę tym szkiełkiem właśnie w koszuli kolegi.

„Widzisz“ — powiedziała Pani, biorąc szkiełko do ręki — „taką masz ładną soczewkę i tak się nią niemądrze bawisz. Soczewka zostanie tymczasem u mnie. Zwrócę ci ją, kiedy przekonam się, że jesteś bardzo grzeczny i pilny“.

DANUTA STACHORSKA

(Dalszy ciąg nastąpi)

**G**DYM w medziale powiedział Kry- si o tym, jak to Michał Aniol zwycięstwo odniósł nad Leonardem da Vinci, — pomieszało się mi najpierw z archaniołem Michałem, — a potem... wiecie, co mi potem odpowiedział? — Ze musiałem się pomylić, bo Leonardo da Vinci jest największy i nikt go pokonać nie mógł. A jednak! Jeżeli chcecie wiedzieć, jak to było, posłuchajcie:

Dwa miasta włoskie prowadziły ze sobą wojnę: Florencia to była i Piza. Florencia pokonała Pizę, więc dumni byli z tego Florentczycy. A jakże, kto by nie był dumny, gdy zwyciężał! — Tak byli dumni ze swe zwycięstwa i chcieli uwiecznić A wiecie, że uwiecznić można słowem, muzyką, rzezbą, obrazem. Florentczycy długo zastanawiali się, w jaki sposób uwiecznić zwycięstwo nad Pizą. Rzeźba czy obraz? — Ostatecznie, po długich rozważaniach, zdecydowali się na obraz. Tylko kto namaluje? Jedni doradzali Leonardo da Vinci, bo to mistrz nad mistrze. A inni przekonują, jest tu u nas, we Florencji, Michał Aniol, młody jeździec, ale malarz dobry. Niech więc on namaluje. — I wiecie, co Florentczycy zrobili? — Obu poprosili, a już potem wybiorą obraz ładniejszy. Wszyscy jednak byli przekonani, że zwycięży Leonardo da Vinci.

Michał Aniol wiedział, że trudno mu będzie pokonać starego mistrza, od którego był o przeszło 20 lat młodszy. Ale chciał namalować obraz jak najbardziej — taki, który się będzie wszystkim podobał. Młosi pokazać, że jest takim samym mistrzem. Więc namalował i całą duszę w pracę wkładał.

Nadszedł dzień rozstrzygnięcia konkursu. Dwa obrazy mają przed sobą Florentczycy. Portwiją. Oba piękne. Ale ten z prawej strony o ten, na który teraz wszyscy patrzą, jest jednak ładniejszy. Patrzą z zachwytem. Bitwa jakby na ich oczach się rozgrywała. Ten rycerz w zbroi — jak wspaniały! — a przecież to Florentczyk.

Sąd orzeczca jeszcze nie wydał, a już wszyscy Michałowi Aniolowi pierwsze miejsce przyznają.

Sędziowie radzą. Długo, bo chcą być sprawiedliwi. Jedynomyślność nie ma. Jeden drugiego przekonnije, mówią o każdym szczególe obrazu, oglądają z bliska, z daleka... Już teraz głoszą. Liczą głosy... Zwyciężył Michał Aniol, nazwiskiem Buonarrotti, młodszy o przeszło 20 lat od Leonarda.

Michał Aniol głowę starca wyrzeźbił, — piękną, włosy gęste zaznaczył, — przede wszystkim jednak zębów zadawolony; zdrowe, mocne.

A właśnie nadszedł książę Wawrzyńc. Z zainteresowaniem przygląda się pracom swych ulubieńców. Do rzeźby Michała Anioli podchodzi. Patrzą i mówią z uśmiechem:

— Starca wyrzeźbiłeś a daleś mu wszystkie zęby. Mało takich starców.

Zawstydzili się młody rzeźbiarz, — zaniemienili. Tutaj się, że nie pomyślał o tym. A książę śmieje się i chwali rzeźbę, że mu się podoba.

Odszedł a Michał Aniol pozostał sam ze swoją rzezbą. Zadumał się głęboko nad uwagą księcia Wawrzyńca. Czy słuszna? A przecież może być starzec, który ma wszystkie zęby. Jednak słowa Wawrzyńca są dla niego święte. Biorze dłuto, jednym rękawem wychyna górny ząb. A potem drugi jeszcze w dalsze wgłębienie, jakby ząb był wyrywany z korzeniemi. Teraz książę będzie chyba zadawolony.

Przyszedł książę do pracowni dnia następnego i od razu zauważył różnicę w wyglądzie rzeźby.

— Co to się stało? Starcowi wypadli zęby? — zasmiał się, a potem pochwalili pracownię i dokładnego ucznia.

Na dworze Wawrzyńca Medyceusza przebywał Michał Aniol czas dłuższy. Stal się sławnym rzeźbiarzem. Od owego zdarzenia upłynęło lat wiele, gdy wielki już artysta wykonał dla Florencji jedno z największych swych dzieł, rzeźbę Dawida. Przychodzili ludzie oglądać, jedni chwaliłi, bo się na rzeźbie znali, inni chwaliłi, bo wiedzieli, że sławny rzeźbiarz ja wykonał. Nadszedł też jeden z wysłanników urzędników miejskich, nazwiskiem Sodorini. Patrzą na Dawida, ze wszystkich stron ogląda, — potem mówi do Michała Anioli:

— Podoba mi się, ale nos za grubo. Twarz przez to bez życia. Taka ospała. Nos powinien być ciśniejszy.

Michał Aniol nie wie mówi tylko biecze do jednej ręki dłuto, do drugiej nieco pylu marmurowego i wchodzi na rusztowanie. Zaoczyna dłutem wodzić po nosie posągu, jednak go nie dotyka, — a z drugiej sypie pyl marmurowy na ziemię. Pyła się po chwili:

— Jakże teraz, lepiej? Patrzą Sodorini, jakby wielkim był znawcą i mówi:

— Tak, oczywiście, twarz nabrała teraz żywołności. Lepiej, znacznie lepiej, Michał Aniol robi to samo: udaje, że

dłutem wodzi po nosie, a druga ręka sypie pyl. A potem, gdy Sodorini orzekł, że już teraz nos jest dobry, zeszedł z rusztowania i usmiechnął się z zadowoleniem. Sodorini był również zadawolony.

Innym razem Niemila przygoda przydarzyła się Michałowi Aniolowi. Wyrzeźbił postać śpiącego boga pogańskiego. Przyszedł pewien Florentczyk i namawiał artystę:

— Rzeźba tak jest piękna, że można ją do Rzymu sprzedać. Dużo pieniędzy za nią dadzą. Iść w może i więcej duka-

Na rys. od góry widzicie rzeźby: Mojżesza, fragment postaci z grobowca Juljusza II i głowę Matki Boskiej — u dołu: obraz przedstawiający Świętą Rodzinę oraz rzeźbę głowy Wawrzyńca Medyceusza



Dużo to byłoby pieniędzy. Michał tyle jeszcze nigdy nie dostał za swą pracę. Więc zgadza się na sprzedaż. Ale Florentczyk powiada:

— Trzeba jednak rzeźbę tak zmienić, by wyglądała jak wykopalisko. Będą myśleli, że to dzieło dawnego mistrza i dużo zapłacą.

— Pogniwiał się Michał Aniol. Jakkto on ma dopuścić się oszustwa? Nie, nie zgadza się.

Ale tamten namawia, pieniądze obiecuje, — i że przecież to wcale oszustwo nie będzie. Zmieni tylko nieco wygląd rzeźby, jakimś płynem tylko posmaruje i będzie gotowa do sprzedania.

Pieniądze były artystcie potrzebne. Więc jeśli to nie będzie oszustwo?

Dal się namówić i rzeźbę jako wykopalisko sprzedał do Rzymu. Kupił pewien kardynał. Dał 200 dukatów, z tego jednak Michał Aniol otrzymał tylko 30. Resztę wziął ów Florentczyk. Sprawa wydatła się jednak szybko. Michał Aniol oskarżony został o oszustwo. Pojechał teraz sam do Rzymu i wszystko wyjaśnił. Niemnie to jednak było i z wielką niechęcią o tym później wspominał.

W Rzymie przebywał Michał Aniol długo. Pracy miał dużo, bo artystą zainteresował się papież i polecił mu malować obrazy w kaplicy swego pałacu. Jednym z takich obrazów miał być Sąd Ostatni. Wymalować go miał na ścianie kaplicy. Wielki, ogromny, jak cała prawie ściana. W środku obrazu — Jezus jako Sędzia, — po jednej stronie ci, co zbawieni, — po drugiej — potępieni.

Długo trwała praca nad obrazem, bo obraz wielki i bardzo dużo postaci. A każdy miał inną postawę, inny wyraz twarzy. I jeszcze jedno, nad czym się zastanawiał: czy aniołowie mają mieć skrzydła? Inni malarze zawsze anioła ze skrzydłami malują, ale czy to konieczne? Albo postacie diabłów: muszą mieć rogi? Diabeł? On namaluje inaczej!

I zaczął malować. Przyszedł któregoś dnia przyjaciel z bliskiego otoczenia papieża. Wiele przychodziło oglądać, ale ten tylko krzykował: że obraz nie jest wart, że do kaplicy się nie nadaje, bo skrzydła anioły nie mają a diabły bez rogów...

Słuchal tego wszystkiego Michał Aniol i tylko się uśmiechał. Gdy jednak wizyty przyatała się powtarzały i powtarzała się za każdym razem ta sama krytyka, pogniewał się cierpliwy artysta i postanowił dać nauczkę. A malował właśnie tych, co potępieni o liście Chrystusa błagają, skazani na wieczne potępienie. I wiecie, co Michał Aniol zrobił? Jednemu z potępionych dał twarz przyatała. Tak robił również inni malarze, — paniełki, jak to Leonardo da Vinci długo sznukał głowę dla postaci Judasza.

Przyszedł przyjaciel, by znow wydziwiać. Gdy spojrzal na potępionych, za głowę się schwylił, bo siebie ujrzal, jakby w zwierciadle.

A Michał Aniol dalej obraz malował. Obraz wielki, więc zbudowane było rusztowanie. Wszedł dnia któregoś wysoka, by malować część górny obrazu. Stało się, — deska była źle przyocowana czy źle stał, — Michał Aniol spadł

z rusztowania. Tak nieszczęśliwie, że zламаł nogę. Prezentony do domu, nie chciał słyszeć o lekarzu. Nie lubił lekarzy. Zamknął się i nie chciał wpuścić. A lekarz czeka i zdaje sobie sprawę, że zaniechanie grozi artystce kaleczym. Co zrobić? Pięta, — pułkają inni, — nie nie pomagają. Zaważyl ktoś, że okno jest otwarte. Więc wszedł lekarz oknem do mieszkania Michała Anioli i jakoś dogadał się z artystą. Oczywiście dowiedzieli się o tym szybko ludzie i dziwkami nazywali malarza. Bo wiedzieli też, że skromne było mieszkanie jego i bardzo skromne jedzenie. Co artysta robił z pieniędzmi, które zarabiał przy pracach rzeźbiarskich i malarskich? — Nikt nie wiedział.

W Rzymie pozostał do końca życia. Starcem już był, ciągle jednak pracował. Któregoś dnia przyszedł do domu późnym wieczorem. Był bardzo zmęczony. Bardziej, niż w dniu inne. Czuł już, że życie ucieka z ciała. Miał lat 88. Wrócił z pracowni. Rzeźbił postać Maki Boskiej, trzymającej Syna na łonie. To chyba jego ostatnia praca. Bo się coraz mniej. A chciał wykonać tę rzeźbę.

Wziął do ręki pędzeł. W pokoju zimno, palce kostnieją. Słowo po słowie, wiersz po wierszu rzuca na papier. Smutne są słowa, bo o śmierci. Coraz częściej o śmierci myślał Michał Aniol.

Dobiega podród mojego żywota Wśród burzliwego morza, w kruczej łodzi...

Przeczytał powtórnje te dwa pierwsze wiersze. Tak, prawda, burzliwe było życie, — bardzo burzliwe, — Obieftzał się myślać wstecz. Wszystkie swe dzieła ujrzał, jakby przed nim ustawione. Rzeźba Mojżesza, Dawida, Jeńca konającego, Jeńca śpiącego, Chrystusa... Iie przecież nie mogłi A obrazy? Słowożemni świateł. Potop, Sąd Ostatni... Głębokie, pełne trudu było życie. Jest dzień 18 lutego 1564 roku. Ostatni dzień życia wielkiego artysty. Zgasił razem z zachodem słońca. Tak, jak sobie życzył, ciało zostało przewiezione do Florencji i tam z wielkimi honorami pochowane w kościele Santa Croce.

I na tym skończyło się moje opowiadanie. Jednak Kryśta chciała wiedzieć jeszcze więcej. Obrazy chciała widzieć, rzeźby i to wszystko, co było dziełami Michała Anioli. Więc wzięjsziny książkę i przewracaliśmy kartkę po kartce. Tu fotografia Sąd Ostatni, tam rzeźby Mojżesza i Dawida. Na jednej kartce ukazala się wjeza kościoła. Ogromna kopuła. To też dzieło Michała Anioli. To on również budował? — Zdziwiła się Kryśta. I długo patrzyła na kopułę kościoła świętego Piotra w Rzymie, którą obmyślił Michał Aniol. Tak zainteresowała się życiem i twórczością tego wielkiego artysty, że zaraz następnego dnia, w poniedziałek, poszła do cyteli i wszyscy, co o nim było, przeczytała i obeftzała. Przyniosła do domu nawet tomik wierszy, przez niego napisanych. Kryśta tak była zadowolona, że zapytała, czy może ją nauczyć, jak malować, jak rzeźbić, jak być artystą. Wtedy, by zobaczyć dzieła Michała Anioli.

STANISŁAW NOWACZYK



Deszcz rześisty lał tak, że świata bożego nie było widać. Zimno było. Znaćcie takie pogódki rozkoszne? Nie dziwicie się więc, że Kazia, moja siostrzenica, robiła wszystko, żeby się nie nudzić. Wyciągnęła ulubioną lalkę swoją, Różyczkę. Coś jej się nie podobało w spódniczce lalczynie. Zaczęło się gwałtowne szycie, reperacje. Nagle:

— Słyszysz?

— Co?

— Posłuchaj!

Kazia odrzuciła gałganki. Nastawiliśmy uszu. Coś piszczało za oknem.

— Otwórzmy okno — powiadam. To coś płacze za oknem.

Usłyszeliśmy bolesny pisk, zawodzenie. Ale osoby płaczącej nie było widać. Kazia wychyliła się przez okno.

— Jest! Jest! Boże, jakie mokre!

Na parapecie okiennym siedział kotek. Nasiąknięty był wilgocią, jak gąbka. Lalo się z niego, gdyśmy go wnieśli do pokoju. Biedny był, zziębnięty.

— Katarzyno, Katarzyno! Czy Katarzyna ma ogień w kuchni? Niech Katarzyna rozpali, moja kochana — woła Kazia. Zabrała kotka do kuchni i tam we dwie z Katarzyną wycierały go, suszyły, karmiły, poiły.

Czy widzieliście kiedy mokrego kota? Żadne zwierzę nie wygląda tak brzydko jak mokry kot. Przestaje być kotem. Jest gładką kiszka na czterech nogach. Ani śladu puszystości! Pokraka!

Poszedłem do kuchni. Na ciepłej blasze leżało zawiniątko w gałganach.

— Spi! — szepnęła do mnie Kazia. — Niech go wujek nie budzi!

W tej chwili z zawiniątko wysunął się biały lebek. Uniósł się w górę i ziewnął tak smacznie, głęboko, aż się otrząsnął. A później za lebkem wysunęło się całe kociątko. Rozejrzało się w jedną stronę, rozejrzało w drugą, spojrzało na nas.

— Niech wuj patrzy, jaki śliczny! Prawda jak ładny! — zachwyciła się Kazia.

— Patrzcie — powiadam — jaką ma zabawną plamę na grzbiecie.

— Jakby miał narysowaną mapę.

— Europy.

— A tak! Europy! — ucieszyła się Kazia. Niech się nazywa Europa! Wujku niech się nazywa Europa! To tak jakoś niezwykle.

— Niech się nazywa Europa — zgodziłem się.

Katarzyna aż trzasnęła rördłami o płacchę z irytacji.

— Słyszane rzeczy, żeby kota kto tak nazywał? Co to, czy to boskie stworzenie nie ma swojego honoru? Ja tam nie chcę takich cudaków!

— Moja Katarzyno, — powiadam — Europa jest to część świata, w której mieszkamy.

— Ja nie mieszkam w Europie, tylko w Płocku. Niech ta dla państwa będzie Europa. Co mnie tam! Dla mnie będziesz zawsze Miluś i już. Na, masz Miluś mleczka!

I odtąd łaciaty kotek zaczął nosić podwójną nazwę: dla mnie i Kazi był Europa, dla Katarzyny był Milusiem. Miał coś nby imię i nazwisko: Miluś Europa.

Kiedyś sparzył sobie łapki. Ale zamiast płakać, nastroszył sierść na karku, spojrzał na lampę i parsknął pff! pff! — Jeździł w koszu do papierów, gonił szpulki po wszystkich pokojach, targał kiełki...

Nie myślcie jednak, że kot się tylko bawił. Badał on świat. Przede wszystkim zajmowało go wahadło zegara. Spozstrzegł je, gdy był na szafie. Przyczaił się i patrzył na nie spod oka.

— Błyszczą i tańczą! Nigdy tego nie widziałem! — I skradal się ostrożnie w stronę starego zegara. Próbował łapką pochwycić wahadło, ale nie mógł go dosięgnąć. Wysunął się jak mógł najdalej i znów zamachał łapką.

— Kiciuś, zejźdź no z szafy! — zachęcam kota, bo mi się te machinacje nie

bardzo podobają. Kot spojrzał na mnie z pogardą.

— Będzie mi przeszkadzał, kiedy takie ciekawe rzeczy-są do zbadania.

Obejrzał zegar z jednej strony, obejrzał z drugiej. Jeszcze raz popróbował łapką.

— Tak się nie da zrobić. Zabaczmy z ziemi. Jednym skokiem już był na podłodze. Przynął się do samej ściany i patrzy w górę.

— Skoczyć z ziemi, czy co? — I jak się nie odbije! Omal nie zerwał wagi.

— Chodźno, mój mały przyjacielu, — powiadam do kota. Popsujesz mi zegar — Biorę go na ręce. Drze się, wydiera, zły, aż parska. Oddałem go Kazi. Zajęła go czymś. Był spokój do wieczora.

Katarzyna wnosi kolację. Spóźniła się. Nie lubi jak jej to wymawiać, więc sama zaczyna.

— Siódma już! Laboga, ilem też czasu w maglu zmitrężyła.

— Już w pół do ósmej — powiadam.

— Ale! w pół do ósmej! Właśnie siódma bije.

Rzeczywiście zegar bije bim, bim. Liczymy. Co to jest? Siedem, osiem... dwanaście, trzynaście... dwadzieścia...

— Jezus! A to co? — woła Katarzyna i buch! północiem w stół.

A tu zegar wali i wali.

Kot wczepił się pazurkami w wagę od bicia i jedzie na niej na dół! Nie miał zegar bić?

Odczepiłem go. Dał susa pod łóżko. Ale myślcie, że się zraził? Nazajutrz, z samego rana, jeszcze okiennice były zamknięte, słyszę łoskot i kocie jęki. Zrywam się z łóżka. Zegar jedzie po podłodze. Ciągnie go Europa, która zaplątała się w łańcuszki i krzyczy ze strachu, jakby ją kto ze skóry obdzierał!

Oprócz zegara Europa badała łazienkę. Gdy tylko usłyszała, że z kranu się leje, biegła przez wszystkie pokoje. Wskakiwała na brzeg wanny i wpatrywała się w strumień wody. Podchodziła jak najbliżej i pac łapką.

Huczący, przezroczyły kij! A mokry! Pfe! — Krzywiła się i otrząsała wodę.

Zachodziła do strumienia z drugiej strony podróżując po krawędzi wanny. I znów pac łapką! I znów się otrząsała.

— Dziwne, dziwne! A gdzie się ten kij kończy? — zastanawiała się i nachylała głęboko do wnętrza wanny. Już wiem!

I hyc! Już była pod wanną. Szukała końca strumienia. I znów hyc! I na nowo zaczynał się spacer po krawędzi wanny i łapanie wody.

— Co za dziwy! — myślała Europa.

Aż raz omal się nie utopiła! Chciała obydwiema łapkami chwycić słup wody, pośliznęła się i rym! w pełną wannę! Właśnie Kazia łada chwila miała wejść do wody.

Co to było płaczu, narzekania! Europa krzyczała ze strachu tak, jakby ją kto żywcem ze skóry obdzierał! I myślcie, że po tej kąpielii Europa straciła ochotę do badań wanny? Nazajutrz już była w łazience. Badała dno wanny. Chodziła, przyglądała się... Aż widocznie przyszło jej do głowy, że tajemnica nie tkwi ani w wannie, ani w kranie, tylko w piecu. Skoczyła równymi nogami na rozgrzany wierzch pieca.

— Ojej! ojej — wrzasnęła niekocim głosem i jak szalona zaczęła biegać po wszystkich pokojach. I odtąd już unikała łazienki.



# Pieskowa rozmowa



Przyszeli Filuś do Zagraja  
i tak sobie rozmawiają  
hau, hau.

„Powiedz, Zagraj, jak się zdarza,  
masz dobrego gospodarza  
hau, hau?”

„A dobry jest, widzi mi się,  
co dzień jadło świeże w misie  
hau, hau.

Świeża woda, dobre słowo,  
chowam się tu u nich zdrowo  
hau, hau.“

Na to Filuś znów zaszczeka:  
„I ja także nie narzekam  
hau, hau.

Wszystko mam, jak się należy  
dosyć jadła, wody świeżej  
hau, hau.

A ja za to gospodyni  
pilnuję malej Maryni  
ham, ham.

Ma Marysia złote loczki,  
Stawia pierwsze, chwytne kroczi,  
kłopot mam.“

LUCYNA KRZEMIENIECKA



## JAK TO DRZEWA I KRZEWY DOSTAŁY CIEPŁE SZATKI



Dawno już minęła jesień. Opadły dawno sukienki z drzew i krzewów. Stały nagie i smutne, patrząc jak wiatr hula z ich złocistymi szatkami, co rozsypało w drobne łachmaniki, dziwnie do liści podobne, leżały u ich stóp.

Smutno było więc drzewom i krzewom, że tak zbiedniały, tym bardziej, że wiatr nie żartował i przedmuchiwał silnie.

sukienkę jasno zieloną, elegancką, powycinaną każda inaczej. Jedna w ząbeczki ostre, druga w faliste, ta przybrana baziarni, a ta kwiatuškami.

A potem, gdy przyszło lato, wysmukłe drzewa i kępiaste krzaki znów przestraszały się, chcąc każde drugiego prześcignąć. Jednym sukienki ściemniały, drugim nabierały krwistych odcieni, jak brzoźcie czerwonołistnej i kłonowi purpurowemu; inne białawą przystroili się barwą, jak białodrzewy, co szalopki posprawiały sobie podszyte, bogate, na jednej stronie zielone a na drugiej białe. A stroić się zaczęły wszystkie w różnokolorowe kwiaty i barwne jagody i owoce. Toteż kręciły się koło nich pszczołki i ptaszki, prawiąc im komplementy. Wiedziały drzewa o swojej urodzie, i dumne z niej były, toteż gdy przyszła jesień ozłocili się i oczerwienili jeszcze bogatszymi sukienkami i ustroiły w piękniejsze jeszcze naszyjniki z owoców.

Ale wszystko kończy się na tym świecie. Przeszła więc i jesień. A za nią przywędrowała zima. Pycha drzew i krzewów została ukarana. Opadły z nich zbyt kożuski i zostały nagusienki, drżące z zimna. Nie więc dziwnego, że wspominały dawne, dobre czasy i płakały deszczem jesiennym, co dużymi łzami spływał po gałązkach.

Ale zlitowała się zima, gruba babina w białą chustę opatulona, nad nędzą drzew

i sprawiła im białe kożuski z puchu śnieżnego. „Siedźcie w ciepłe niebożęta, otulcie się puchem, rączęta w puchowe mułki włóżcie, nożyny w puchowe buty, a na głowę puchowe kapuzy“. Poweselały więc i drzewa i krzewy, bo choć każde z nich podobne miało ubranie i już nie mogło jedno drugiemu imponować, że to — „moja sukienka ładniejsza“, ale



A i wstyd wielki tak stać bez ubrania. Więc żeby się pocieszyć i przypomnieć dobre czasy, rozmawiały sobie o tym, jak to na wiosnę każde z nich miało śliczną

za to ciepło im się zrobiło, a nawet ludzie zaczęli mówić, że drzewa i krzewy wyglądają jak z bajki“.

PRZEDPELSKA-KWASKOWSKA

# Basia

wstaje rano,  
ogień nieci,  
kurze ściera,  
zmiata śmieci  
i biegnie daleko  
po bułki i mleko...

Taka ta Basia robotna  
i do wszystkiego ohotna.

Tylko, niestety,  
(choć brzydko zdradzać  
cudze sekrety)  
nie lubi się uczyć!  
z tego i w domu  
i w szkole słynie...  
Ale to przemienia!



Jaka ta Basia robotna  
i do wszystkiego ohotna:



Taka ta Basia robotna  
i do wszystkiego ohotna.  
Gdy w kątach  
posprząta,  
biegnie karmić kury...  
Ma matka pociechę  
z pracowitej córki.



L. WISZNIEWSKI

## KĄCIK ROZRYWKOWY

### ZAGADKI

1. Mieszka w podwórku,  
ma długą szyję,  
co chwila wodę  
wiaderkiem pije.
2. Jedna klepka, druga, trzecia,  
nie brak klepki żadnej,  
z niej koszulki, kaftaniki  
wyjdą czyste, ładne.
3. Malutka sładzienka,  
na krążku w niej kijek  
wyborną śmietaną  
na masło ubije
4. Zgadnij Janko, Halu:  
jest zwykle z metalu;  
gdy uszyć coś muszę  
chowam weń paluszek.
5. Widzisz jak rośnie  
barwna, wspaniała,  
wystarczy dmuchnąć,  
by żyć przestała.
6. Zaden samolot tak szybko nie lata  
w ciągu minuty odwiedzi pół świata,  
a żadna z tych długich podróży  
nie zdoła jej zmęczyć i znużyć.

### DODAWANKI I ODEJMOWANKI

1. Spółgłoska + imię żeńskie = ptak, *by-*  
jący nad wodą.
2. Zewnętrzna część pnia + spółgłoska =  
ozdoba szyi pochodzenia morskiego.
3. Metalowy przedmiot, służący do za-  
mykania — początkowa spółgłoska =  
sprzęt służący do podróżowania wodą.
4. Gatunek ryby + samogłoska = gróby  
powróż, używany na okręcie.
5. Przeciwnieństwo nagrody + spółgłoska =  
gatunek ryby.

### ROZWIĄZANIA Z NR 50(57)

#### WYBIERANKA:

Morze to otwarta droga w świat

#### ZAGADKI:

1. Polana.
2. Węgiel.
3. Ochrust.
4. Iskry.
5. Dym.

### ROZWIĄZANIA Z NR 52(59)

#### REBUSY:

1. Suche listki.
2. Wypitą kawę.
3. Ewa stłukła wałę.
4. Stos drzewa.

### ODPOWIEDZI REDAKCJI

Oleńka i Wojtuś Majcherek z Warszawy. Współczujemy serdecznie Wam i Waszym Rodzicom z powodu tak strasznej śmierci Waszego stryjka, Jerzego Majcherka, który został zamordowany pod Sokolowem przez bandytów. Zginął On śmiercią bohaterką, pełniąc swoje obowiązki. Cała Polska piętnuje ten straszny mord bratobójczy i zespala się w tych ciężkich chwilach z rodzinami zamordowanych.

W tym roku pomimo otrzymanych zaproszeń nie mogliście być na „Gwiazdce Głosu Ludu“ z powodu wielkiej żałoby w Waszym domu, ale prezenty są dla Was odłożone i wysyłamy je pocztą.

Janina Tyszkiewicz z Piastowa.

Bardzo nam przykro, że dostałaś niepełną paczkę. Ktoś nieuczciwy musiał zabrać z niej czekoladę. Wszystkie paczki wysłane przez nas poza Warszawę zawierały oprócz książki również tabliczkę czekolady i były bardzo dobrze zapakowane. Powinnaś zgłosić się do miejscowego urzędu pocztowego i powiedzieć o tym fakcie, — wtedy sprawę rozpatrzą i poszukają winnego. Odpisz nam jak tę sprawę załatwiłaś.

Uwaga Dzieci z Ziem Odzyskanych.

Wasza koleżanka Krysią Ząbkowska z Warszawy ul. Łomżyńska 18 m. 16 chce nawiązać korespondencję z koleżanką z Ziem Odzyskanych. Krysią jest uczennicą kl. VI szkoły Nr 192 mieszczącej się przy ulicy Otwockiej Nr 3 na Pradze. Ma lat 11. Przeszła bardzo ciężki wypadek tramwajowy, w którym utraciła nogę. „Świat Dzieci“ podoba się jej bardzo i czyta go z wielkim zapałem. Napiszcie do niej.